

B L Ū S Z C Z



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Chrystus zmartwychwstały, posąg kolosalny z miedzi, T. Rygiera, na szczycie kościoła parafialnego w Miechowie.

CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁY.

Chrystus zmartwychwstał!... W blaskach rannej
[zorzy,

Z niebios ku ziemi spłynął anioł boży;
Rzucił promieni swoich błyskawicę
I światło weszło w grobową ciemnicę.
Ruszyło Syna Bożego całuny.
I wstał w koronie jutrzenkowej łuny,
Zwycięzca śmierci w blaskach jasnej chwały,
Cały w jasności — Chrystus zmartwychwstały...

A my ku Niemu wyciągamy ręce:
—Panie! coś ożył po krzyżowej męce,
Wstał na anielskich głosów zawołanie,
I nam się ukazał w to cudu zaranie!
Nam Panie, ciężko idzie nasza praca:
Ziarno przepada, znój się nie oplaca,
Ostre krzemienie leżą nam po drogach,
I mamy rany na skrwawionych nogach,
I mamy w sercach bolesne tęsknoty....
Rzuć Ty nam z góry jeden blask swój złoty;
Przez gloryj Twojej cudowne widzenie,
Daj w piersiach naszych ducha przebudzenie,
Daj wiarę, miłość, zeslij nam nadzieję.
Niechaj nam serce w piersiach się nie chwieje,
Niechaj nam siła nie słabnie w zmęczeniu.
Łaskę nam zsyłaj po światła promieniu,
I daj wytrwałość ludziom dobrej woli,
Daj urodzajność zaoranej roli,
Daj owoc drzewom, a strumieniom wodę.
Posiewom deszczyk, a żniwom pogodę.

Niech będzie czystem wszystko, co jest młode,
Niech będzie tklivem wszystko, co jest wdzięczne.
Promienie słońca i światło miesięczne
Niech wszystkie ciemne przeniknie gęstwiny.
Niech wonność idzie od wszelkiej krzewiny,
Niech dobroć idzie od wszelkiej istoty,
Nie będzie nigdzie płaczącej sioroty,
Nie będzie nigdzie samotnej starości....
Niech każdą przepaść chociaż cud umości:
Niech promień światła padnie przez otchłanie,
A łaska twoja niech tam zstąpi, Panie,
I da z każdego grobu zmartwychwstanie ...

M. I.

BYRON.

(Dokończenie).

Napisano już wiele o Byronie, ale nie tyle jeszcze, ile dla zrozumienia go potrzeba. Główne charakterystyki Taine'a i Brandes'a pozostawiają bardzo wiele punktów ciemnych, dając albo tylko zarysy człowieka bez związku ścisłego z dziełami, albo ułamkowe obrazy, jakby wycięte z ogromnej panoramy zjawiska. Jednostronność doktrynerska mroczy sądy, których całą zaletą właśnie miała być jasność. Brandes naciąga z zamiłowaniem łuk wolnomyślności i poezją Byrona strzela do przeciwników. Obie te powagi literackie, u nas zwłaszcza wysoko stawiane, niedostatecznie obejmują całość tego, co się nazywa Byronem — w życiu i poezji. Jest to zadanie bardzo trudne: człowiek bowiem i poeta ma jakby naturę rozprężliwego, ująć, przytrzymać i ustalić nie dającego się gazu. Rozprężliwość jest głównym jego znamieniem — jego siłą i jego przekleństwem. Ona mu nadaje ten

subiektywizm, jakiego nie było ani przed nim, ani po nim w literaturze świata, ale ona także nie pozwala mu tworzyć dzieł doskonałych, posiadających dzwiczność wieki i powszechną, nie dla pewnych tylko stanów duszy, pewnych osobistości i chwil, ale dla przeciętnego typu umysłowego Ludzkości wszystkich wieków. Ta ludzkość właśnie jest dla Byrona jakby miłowaną niegdyś, później znienawidzoną kochanką. Z samowoli dziecinnego wieku powstaje w późniejszym dziko miotające się samolubstwo i niczem wypełnić się niezdolna samotność ducha. Życie powszechne jest dla poety jakgdyby jednym bezludnym przestworem, najeżonym skałami, na szczycie których dopiero on sam staje, aby nań z melancholią, pogardą, ironią lub sówizdrzalską uciechą spoglądać. Mózgowi jego braknie silnych przekonań, sercu jego silnej miłości. Otwiera mu się dusza na wielkie zadania, umiłowania i cierpienia ludzkie, ale nie wzbija się na szczyty zapału dla człowieczeństwa i praw jego nieśmiertelnych. W ideale odczuwa on raczej piękno, niż dobro; jest już za starym, zanadto przez życie zmiażdżonym, aby mógł go kochać. Wiosnę wypaliło mu odrazu skwarne lato, sielankę młodości wydarły pioruny burz, przedwczesnych, a więc srożej niszczących. W dwudziestym pierwszym już roku życia śpiewa do Inezy, jak człowiek kładący się w grób.

Moore ma zupełnie prawo powiedzieć, że „poezja Byrona rośnie i krzewi się na ruinach serca przepalonego uczuciem, jak drzewo kasztanowe na lawie wulkanu.“ Unurzany w subiektywizmie swoim, Byron znalazł tylko jedną formę ducha: swoją własną, tę której żywiołem było ciągle rozdarcie, niepokój, burza, wir szalony, ogień buchający zpod samych podstaw bytu. W trzeciej pieśni *Childe Harolda* (strofy XLII—XLVI) charakteryzuje samego siebie w porównaniach słów: życie takich duchów, to burza; rzuca ich w niebiosy, strąca w błoto ziemi; niechaj im tylko burzy zbraknie, a zaraz śmiertelnych dostają tęsknot i mrą wycieńczeni przez spokój i pogodę. Takim istotnie był twórca *Manfreda* i *Cainy*. Posunął on do ostatecznych prawie granic tę zasadę twórczości poetyckiej, na najwyższym swym stopniu będącej zarazem i twórczą siłą dzieł, zasadę, że poezja, mając rozkosz w żywym pięknie, z rzeczywistością toczy wieczny bój. I wewnętrzną swoją i zewnętrzną rzeczywistość szarpał poeta nieustannie, a rwąc coraz bardziej swój związek miłosny ze światem ludzkim, nie czuł, jak temsamem przyćmiewa i gasi przed sobą i te ideały, którym w poezji swojej wyraz nadawał. Gorycz jego nad światem nie tryska ze szlachetnego źródła miłości człowieka i żalu nad marnowaniem lub gnębieniem człowieczeństwem, ale sączy się z niewiary w naturę ludzką, ze wątpienia o przyszłości świata, z bagnisk niezadowolnienia, jakiem go sam był ziemski przejmując. A źródło najgłębsze całego tego rozgoryczenia kryje się we własnej jego duszy. Ponieważ widział świat tylko przez samego siebie — i to jest najrdzenniejszy przymiot jego ducha — więc jak siebie odczuwał, tak odczuwał i świat. Niezadowolnienie z własnego ja zamieniło się tym sposobem w gorycz nad światem. Jak zapasy jego wewnętrzne są tylko miotaniem się wichrowatem, a nie walką o dobro, o coraz wyższą siłę i godność własną, tak i jego wszystkie jęki i przekleństwa pesymistyczne są tylko bezwiednym kłębieniem się myśli, dość rozumnej i niepodległej, aby zła i niedola ukryć się przed nią nie mogły. Ideowa jego podniosłość nie jest soczystym owocem życia, ale plonem samej inteligencji, która w dziedzinie życia gwałtownie wtargnęła i własnym obsiała ją ziarnem. Wyłączną zasługę ma tu genialny jego rozum.

Ze wszystkich władz duszy, czy też pojedynczych upostaciowań umysłowości, najsłabszym w Byronie było sumienie; jedynym jego rzetelnym ideałem, na który patrzył nietylko okiem artysty poszukującego piękna, ale duszą człowieka pragnącego dobra dla ludzi była wolność, zostawiająca każdemu stworzeniu właściwy mu krąg bytu i usuwająca ze świata przemoc człowieka nad człowiekiem; najgorętszy wreszcie przedmiot jego natchnień, biegun magnetyczny, do którego zwraca

cała się zawsze żądza żywa i twórczość poetycka stanowiła kobieta. Poza nią nic — nawet w strasznej chwili potopu miłości kobiety jest główną sprężyną myśli i czynów anielskich i ludzkich (*Heaven and Earth*). Do kobiety śpiewa, jako czternastoletni dzieciak (*Hours of idleness*), kobiecie oddaje życie i poezją swoją. Kobietę i kobiecość opiewa i maluje najlepiej, i, oile zdolnym był do przedmiotowego tworzenia, oile mógł spokojnie samego siebie nie domieszywać do swych utworów, — to typy kobiece i pod względem różnorodności i pod względem kolorytu i cieniowania psychologicznego tworzył doskonałe. Kobiety powinny mu pomnik postawić, nie za to, że ich tyle nazdradzał w życiu, ale że je takim urokiem opromienił w poezji. Przez postacie mężkie przeświłtuję, nie z jednakowem przecieciem nateżeniem, sam Byron i ztąd pochodzi ich, do pewnego stopnia, jednostajność przy powtarzaniu głównego typu ukształtowanego w *Manfreda*; ale postacie kobiece mają obszerną skalę od *Thyrzy* (po powrocie do kraju) do *Aurory Raby* w *Don Juanie*. Wszystkie są piękne, wszystkie nieszczęśliwe lub szukające szczęścia, wszystkie w starciu ze światem lub z obowiązkiem; wszystkie kochają bez granic, i z poza tajemniczych mgieł okrutnego przeznaczenia rzucają czar swój krepujący mężczyzną. Najwyżej pod względem charakteru kobiecego stoi *Ada* w *Cainie*. Naiwnością niesłychanego uroku wyodrębnia się od innych *Haydee*. Postacie kobiet korsarskich, oraz *Parisiny* i *Teresy* odpowiadają najlepiej typowi bajronizmu. Tylko tam, gdzie poeta żądłem satyry kąsa, kobieta nie jest dla niego jakimś uroczym, tajemniczym bóstwem. Inezy dostają się strasznie ciężki. Ale była ona już matką *D. Juana*, a żoną samego Byrona.

Etycznie pięknych charakterów nie wymagamy od Byrona: nie znajdziemy ich ani w mężkiej, ani w żeńskiej połowie tej ludzkości, którą poezja jego nagromadziła. Bohaterowie jego i bohaterki kochają, cierpią, umierają za siebie, lub dla siebie: żadna wyższa, krąg jednostkowości przekraczająca, zasada nie porusza ich dusz; najczęściej są to istoty unieszczęśliwione przez miłość bezładną, która też stanowi oś obrotową ich czynów. Do przedstawienia pięknego obywatelstwa, wspaniałego człowieczeństwa, stającego do walki i poddającego się męce i śmierci dla dobra istot związanych węzłami rodzinnymi, społecznymi lub narodowymi, dla ojczyzny i ludzkości — Byron był niezdolnym: a czego w sobie nie miał, tem i świata darzyć nie mógł. Dzieciak rozkapryszony, później niepochwytany fantastyk, a zawsze samolub uważający się za środek świata, zawsze nieszczęśliwy przez nadmierne głody chęrci duszy, mógł on odczuwać (i rzeczywistego odczucia dowiódł w *Childe-Haroldzie*), piękno pojedynczych czynów ludzkich, ale nie umiał kształtować czynami takimi pałających osobistości. Tu właśnie życie jego wżera się w jego poezję, jak trąd, jak zaraza. Przy innym życiu, byłyby i inne ideały i inne charaktery. Człowiek nie wypędził z siebie nigdy ani ogólnej natury, ani samego siebie. Tylko ogromem zdolności przy takim lichem życiu wytlómaczyć można tę podniosłość, tę czystość etyczną, z jaką się w utworach Byrona spotykamy. Dzieje się to tylko dzięki geniuszowi, pomimo życia; geniusz obejmuje dobro, nie ze strony tego zadowolenia, jakim darzy każdy czyn dobry, ale ze strony piękna, jakie się z mrocznego tła niegodziwości i małości ludzkich wynurza.

„Kocham człowieka bardzo, lecz naturę więcej“ — powiedział o sobie, ale w drugiej tylko połowie zdania powiedział prawdę. Człowieka nie kochał, rzeczywistego go nienawidził, lekceważył jego dobra ziemskie, od życia samego począwszy, widział w nim istotę skazaną na niemość i cierpienie lub rozkosz i zużycie. Kochał tylko kobietę i kobietę rozumiał. Ale mógł z zupełnym prawem powiedzieć, że kocha naturę więcej. Opisy natury krajobrazowej, odczuwanie jej, przejmowanie swoją własną melancholią lub rzadką swobodą myśli, — stawiają go w rzędzie największych pejzażystów malujących żywym słowem. Ma on coś z *Ruysdaela* w tym swoim subiektywizmie stapiającym widza z przedmiotem widze-

nia. Burza w *Don Juanie*, nieśmiertelnej piękności hymn do Oceanu w zakończeniu *Childe Harolda*, obrazy prześwitujące w *Manfredzie* i *Mazepie*, same przez się już wystarczałyby do ugruntowania jego sławy. W opisach wypadków, w których występuje już nie natura, ale człowiek, bywa Byron kolorystą wysekiej wartości, przyczem nie trzeba myśleć, aby silna jego zmysłowość w opisach takich przedewszystkiem występowała jako silny realizm, wymagający koniecznie dla siebie bezpośredniego wzoru. Z tego faktu, że w opisie zdobycia Izmaili Byron oparł się wiernie na świadectwie współczesnym, tak, iż podobno nic nie dodał, ani nie ujął, wnosi Taine, że nie miał wyobraźni twórczej. A któż to wyobraźnią swoją jedynie wytworzył cały ten świat korsarski, te morza, zatoki, zamki, jaskinie, ogrody, tych zbójców mających jedną tylko cnotę a tysiąc zbrodni — całe to, jakgdyby z czasów Pompejusza wyrwane, tajemnicze państwo rozbójników Morza Śródziemnego? W improwizacji swojej znakomity krytyk dopuszcza się także i innej jeszcze niedokładności: nazywa Byrona najbardziej angielskim z poetów Anglii; kiedy przeciwnie, jest on najbardziej beznarodowym, najmniej a bodaj nawet wcale nie patriotą, i ani ze sposobu myślenia, ani z przedmiotów do tworzenia obieranych, ani z samej metody poetycznej, jeżeli metodę Szkoły Jeziór uznamy za poszczególnie angielską, nie zasługuje na nazwę poety angielskiego. Chyba, że żółć i samolubstwo są czemś wyodrębniającem się w swojej angielskości.

Z Byrona wieje duch poezji nowoczesnej; ale nie przez niego dopiero i nie w nim najsilniej, najszlachetniej, przed rozwojem romantyzmu francuzkiego i polskiego, się objawił. Pod względem skali życia i skali człowieczeństwa — jedynej, jaką krytyka stosować ma prawo przy ocenianiu wartości ideałów danego poety, — o wiele wyższą jest poezja Schillera i Goethego. W tej *olla podrida*, jaką krytyka zrobiła z romantyzmu, smażyć bez końca przy coraz-to innym ogniu jego pojęcie, poezja bajronowska będzie zajmowała w każdym razie miejsce dopiero drugie, choćbyśmy obu wielkich Niemców zupełnie na stronie zostawili. Chorobliwość i sowizdrzalstwo mogą być genialnymi, mogą zadziwić i olśnić, ale trwale się w ludzkość nie woryją. Poezja Byrona podobna się szczególnie młodemu, tęskniącemu do ideału a kąpiącemu się w rzeczywistości, podoba się nieszczęśliwym i smutnym i rozpoczynającym ciężkie roboty w kopalniach zwątpienia; ale nie podniesie, nie rozgrzeje, nie rzuci nikogo przed ołtarz wielkiej jakiejś nieosobistej tęsknoty, wielkiego nieosobistego szczęścia, nie rozbudzi tych dążeń i prądów, bez których życie ludzkości byłoby tylko trwaniem gromady zwierząt. Edukacyjny wpływ poezji bajronowskiej na umysły otwierające się dopiero do życia jest daleko silniej ujemnym, niż dodatnim, i w rozumnym wychowaniu, zwłaszcza kobiet, Byron powinien jaknajpóźniej dostawać się do rąk młodego pokolenia. Krytyka angielska, nieskończenie surowsza od kontynentalnej, o tym właśnie utworze, który Brantes i Taine najwyżej stawiają, o *Don Juanie*, nie wahała się wyrzec, że lepiej może byłoby, gdyby go Byron był wcale nie napisał.

Powiedziano o Byronie, że połączył w sobie Fausta, Don Juana i Prometeusza: na dwóch pierwszych — zgoda, na ostatniego — nie. Bohater Eschyłowy jest o całe niebo od Byrona i jego ideałów wyższy. Byron zanadto siebie kochał, około siebie się obracał, w małostkach życia się grzebał, na niskich poziomach serce swe trzymał, zbyt był zajęty kobietą i kobiecością, i wszystkimi jej urokami i całym jej przekleństwem — aby mógł obok Zeusa wroga stanąć. Poetę i człowieka w ścisłym wzajemnym ich związku scharakteryzował dobrze Macaulay (jeszcze w r. 1830); z jego szkicu powziąć można lepsze wyobrażenie o autorze *Caina* i *Don Juana* niż z wysławianych improwizacji Brandesa i Taine'a. Chambers¹⁾ wskazał wierzchołki twórczo-

ści bajronowskiej, na których indywidualność poety przejawia się w najwyższym swem natężeniu. „Wielkość geniuszu Byrona — mówi — jaśniej w *Childe Haroldzie*, tkliwość w opowiadaniach i mniejszych poematach, bogata różnaitość w *Don Juanie*.“ „Mało poetów mogło się spodziewać uwicia większego wieńca, ale w tym wieńcu braknie niewiedzących kwiatów nadziei i wiary.“

Na naszą literaturę Byron wywarł wpływ ogromny. Samo porównanie go ze Słowackim, lepiej od dotychczasowych dokonane, mogłoby dużo nauczyć tych, którzy nauczają, że Słowacki jest tylko naśladowcą Anglika, a jego *Beniowski* to tylko jakieś *pasticcio* z *Don Juana*.

Stanisław Krzemiński.

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Prezesowa zaprosiła p. Romana do Porzeczka na obiad, więc odesłał konie do domu i zajął miejsce w jej powozie na przodzie. Był w dobrym humorze, był wesoły i rozmowny, widocznie zaczął być już zakochanym i czuł się zadowolonym, że znajduje się obok Wandy, że ją ma na przeciwko siebie, choć ona milczała niemal całą drogę. Ale nie widać było na niej żadnego wzruszenia; przeciwnie, była jakaś spokojna — spokojna i poważna, co dawała jej pewną fiziozognią nową, nowy i niezwykły wdzięk. P. Roman zdawał się ulegać jej urokowi, oczy jego nie opuszczały jej, lecz ona przyjmowała i to — spokojnie. Gdy mówił do niej wręcz, odpowiadała mu łagodnie i taką została powróciwszy już do domu. Prezesowa lękała się czegoś wręcz przeciwnego. Po tem, co zaszło w kościele, lękała się ze strony Wandy bolesnego rozdrażnienia, rozżalenia ciężkiego, i dziwiła się, że go nie znajduje. Wanda wyzwała ją niejako, idąc pod oczyma całego tłumu całować rękę p. Róży; lecz ona, rozgniewana w najwyższym stopniu, nazywająca to zuchwalstwem i manifestacją, mniej była tem zadziwioną, niż nagłym spokojem i łagodną cichością Wandy. — Pomiarkowała się — mówiła sobie i była rada ze zwycięstwa. Przyglądała się też p. Romanowi, jakgdyby widziała go poraz pierwszy i obserwacje zakończyła uwagą, że jest bardzo przystojny i elegancki — że jest panicz, co też mogło się przyłożyć do zmiany, którą nazywała w Wandzie rozumem i poczuciem się do obowiązku.

Nie myślała o tem, a może nie znała tego stanu ducha, że postanowienie, powzięte już ostatecznie, daje ludziom ucieszenie się w sobie i spokój, jakgdyby przybicia już do portu. Póki namyślamy się jeszcze, póty rwiemy się w sobie niespokojnie; serce jeszcze się targuje, lęka się, argumentuje ze sobą, ale gdy raz zapadnie wyrok, byle tylko był szczerym i niepowierzchownie powziętym na odczepkę bijącym się w nas myślom, następuje spokój. Może to być rozstanie się z nadzieją szczęścia; może to być ukazująca nam się przed oczyma droga życia pusta i samotna, którą mamy już iść aż do końca i wtedy możemy się stać śmiertelnie smutnymi, ale stajemy się mimo to spokojnymi.

Gdy p. Wanda wróciła w kościele do ławki p. prezesowej, miała na twarzy rumieńce gorące, oczy jej błyszczały, postać cała tchnęła wzruszeniem krwi, silnie pulsującej w żyłach. Choć już ciotka wyszła z ławki i stała tylko obok z p. Romanem, oczekując na nią, ona weszła tam jeszcze, przykłękała, schyliła głowę, jak ktoś, który modli się z wielkim skupieniem ducha, — ale trwa-

ło to bardzo niedługo, ledwo minut parę. Bo modlitwa była krótką: — Ojciec niebieski — mówiła w sobie — ja sierota, niemająca na ziemi nikogo do pomocy i rady, oddaję się pod opiekę Twoję. Los mnie postawił między dwoma obowiązkami i muszę złamać jeden, ale Ty widzisz, że nie z egoizmu i nie z samowoli. Musiałam wybierać i teraz wołam do Ciebie — wspieraj mnie!..

Podniosła się, spojrziała ku górze, nie na ołtarz nawet, ale wyżej, pod strop, już będący po nad nim, jakgdyby tam kędyś szukała Boga oczyma, w których perliła się łezka. Spojrzała, otarła szybko tę perłkę, aby nie spadła na pokaz wzroku ludzkiego i wyszła z ławki — spokojna.

Szybko rozrzuciła swoim losem: pod silnem uderzeniem serca, ale niezawsze namysł długi przynosi radę najlepszą. Szła, szła po ścieżce długiej a wąskiej, aż doszła do jej kresu i zwrócić się gdzieś musiała, a gdy to nastąpiło, weszło jej w serce uspokojenie. Rumieńce, które palą jej lica, zniknęły; oczy, błyszczące jak gwiazdy, przysłoniły się powiekami. Odpoczywała po wysiłku odbytych, a uczucie, że zrobić już to może, usposabiało ją łagodnie. Łagodnym był jej głos, gdy odpowiadała p. Romanowi, łagodnym był nawet, gdy mówiła do ciotki. Mało jadła, mało mówiła, ale wyglądała tylko, jakgdyby po wycieczce porannej zmęczoną była trochę.

Przecież, gdy w jakiś czas po obiedzie p. Roman prosił ją, aby śpiewała, odmówiła mu. — Odmówiła z pewną stanowczością. Gdy, prosząc jeszcze, chciał ją wziąć za rękę, cofnęła ją. Nie zarumieniła się ani trochę, ale rękę cofnęła. I wtedy nie przestała być spokojną, ale twarz miała jeszcze poważniejszą. Ciotki nie było między nimi, wyszła może umyślnie, aby ich zostawić we dwoje tylko, a było to już około szóstej godziny po południu. Drzwi na balkon ogrodowy stały szeroko otwarte; powietrze było już nie gorące, ale bardzo ciepłe i wraz z niem płynęły do pokoju wonie kwiatów, których było przed balkonem właśnie mnóstwo wielkie. Ptaki nie rozpoczęły jeszcze przedwiecznego świergotu, była w koło ta jeszcze zwykła cisza dni letnich, dzięki której głos śpiewającej byłby się rozlegał bardzo dźwięcznie, ale ona odmówiła.

— Przepraszam pana — rzekła — ale nie jestem usposobioną do śpiewu.

I rękę cofnęła. Nie była widać usposobioną i do tego, aby spoczęła ona w dłoni p. Romana.

— Dlaczego? — zapytał nieborak zawiedziony. Nie czujesz się pani przy głosie w taki piękny dzień?...

— Tak — odparła i wyszła na ganek, a naturalnie i on za nią. Chciałby był zapytać: dlaczego nie czuje się i na chęci, aby jej ręka dątknęła jego ręki, aby spoczęła w niej na jeden uścisk, ale byłyby to już wyraźne oświadczenia, których jeszcze nie chciał. Już zaczynał tak kochać, że nie umiał się już trzymać na mocnej wodzy, że się zdradzał ciągle, ale nie przestał jeszcze targować się ze sobą — nie przestał jeszcze spokojnie na to, że miłośno zwyciężył może rachubę, a przynajmniej zdradzić się, pomimo rachuby. — Pani na mnie niełaskawa — rzekł jej na balkonie, stojąc przy niej. Pochylił się ku niej lekko.

— O! nie — odparła Wanda z prostotą — nie mam nic przeciwko panu i dlaczego miałabym być niełaskawą?

Mówiła prawdę. Ten człowiek nie zrobił jej nic złego. Złe, jakie ją mogło spotkać z jego powodu, nie było jego winą. Był niedawnym przybyszem w okolicy, nie znał wcale stosunków i zapewne nie wiedział jej historii, bo nieraz w rozmowie okazywało się, że wogóle nie zna historii sąsiedzkiej. Nie mogła go obwiniać, a to usposobienie łagodne przyszło jej głównie z chwilą, gdy go się już i obawiać przestała. Miała teraz pewność, że potrafi dać sobie radę, a nie było w niej tej małoduszności, aby się gniewać na niewinne zawady na drodze jej życia. Kamienie różne muszą się tam zawsze spotkać, bo rozsypane po świecie, muszą się znajdować na drogach ludzkich, a dlaczegoż ona miałaby być tak wybrana przez los, aby nie zetknąć się nigdy z niemi? Ludzie padają o nie nieraz, rozbijają

1) Cyclopaedia of the English literature, Vol. II, pag. 351.

głowę lub serce, lecz ona już sobie znalazła sposób, aby się z nią tak nie stało. Na kamień nie gniewa się nigdy człowiek rozsądny, nawet wtedy, kiedy urazi sobie o niego nogę, i jeżeli miała w sercu żal, to do wujenki. Ta znała historię jej życia, znała jego obowiązki i chciała ją doprowadzić do złamania ich, do niej więc odnosiło się całe uczucie bólu, jakie miała w sercu. Na p. Romana nie była nielaskawą, jak mu powiedziała z wielkim spokojem. Gdyby nie był miał w sercu tego, co ztamtąd bije do głowy, byłby spostrzegł, że ten spokój biednej dziewczyny nie wróżył mu nic dobrego, ale to zaccadzenie narkotykiem miłości, którego już doświadczać zaczęła, odbierało mu bystrość naturalną, a ona, która to spostrzegła, powiedziała sobie, że powinna postąpić z nim uczciwie. Nie mogła mu powiedzieć: — Kochać cię nie mogę... Nie byłabym w stanie pokochać cię i wtedy nawet, gdybym miała serce wolne, ponieważ pomiędzy mną i tobą niema tej nici sympatycznej, która serca wiąże... Byłoby to z jej strony nietylko excentryczną oryginalnością, którą obrażała, więc do urazy doprowadzić mogła, ale istniał inny odpowiedniejszy sposób ostrzeżenia człowieka nieświadomego prawdy, że między nią i nim stoi przeszkoda niezwykła.

To postanowiła zrobić, korzystając z chwili, gdy są sami, a na tym balkonie, na którym nieraz stawała tak, jak teraz z nim, jedno obok drugiego, z człowiekiem drogim jej jak życie, przyjsię jej to mogło łatwiej, niż gdziekolwiek indziej. Spojrzała przez ukwiecony trawnik w głąb zielonego zacisza i lekko westchnęła. — Co tu dla mnie jest wspomnień — rzekła głosem, który lekko drżał pod rzeczywistym wzruszeniem tego wszystkiego, co sobie przywołała na myśl — co tu jest dla mnie wspomnień — i słodkich i okrutnych...

— Czyż życie pani może mieć wspomnienia okrutne? — odparł p. Roman trochę zadziwiony. Jego stosunki z kobietami były głównie salonowe. Miał dwie siostry, ale te pocszy za mąż w czasie, gdy był zagranicą. Odjechał je młodemi dziewczętami, wychowanymi podobnie, jak i on, w atmosferze, w której się tak ubiegano o pański szyk, że serca były wzięte w mocne powijaki i doprowadzone do tego regularnego bicia, które nie popuszcza żadnej excentryczności rozmarzania się, upajania się uczuciem. Urobiono je na dwie eleganckie salonowe panny, wydano je za ludzi z podobnej sfery, wyznaczono im posag, oparty na wartości wiosek położonych w Gostyńskim, gdy jemu, ze względów na nazwisko, przeznaczono dziedziczne dobra rodziny w Powiecie Kobryńskim, i brat tak nie rozmawiał z niemi nigdy o żadnych sentymentach, jak nie rozmawiał o nich nigdy z żadną kobietą, którąby mu odtworzyła serce szczerze i mówiła z nim poważnie. Sam też nie kochał się nigdy. W salonie romansował trochę, ale leciuchno; poza salonem bawił się wesoło i raz tylko spotkał pewną Angielkę, która go zajęła więcej i dla której uczuł coś, co byłoby się mogło stać miłością, gdyby okoliczności były pozwoliły na to. Panna była trochę oryginalna, ale bardzo szlachetna, mówiła nieraz o uczuciach kobiety żywo i gorąco, przecież nie okazywała mu żadnej takiej sympatii, z której może powstać miłość. Był tylko skłonny pokochać się, a jego życie nie byłoby nic straciło na tem, gdyby to była nawet miłość, niedoprowadzająca do ołtarza, ale błękitne oczy miss Lydyi patrzyły na niego zupełnie obojętnie, więc iskra miłości nie zapaliła mu się w sercu. Przytem byli ze sobą niedługo, jakieś dni kilka, a on jeszcze wtedy żenić się nie myślał, że zaś nigdy entuzjastą nie był, więc czar błękitnych oczu nie pociągał go za sobą, aby jak motyl krążył koło tej jasności, mogącej opalić mu skrzydła.

Teraz dopiero przyszła na niego ta godzina, bo istnieje ona dla każdego człowieka, który nie jest ślimakiem. Wybija ona nawet dla istot zimnych i egoistycznych i dla tych ludzi bez zapala, przychodzi ona zwykle późno, tak, jak to było u niego. Dzieje się podobnie i dla pewnych natur bardzo wybrednych; te noszą w duszy ideał miłości, jak jakiś klejnot drogocenny, a jest

to dla nich skarb, którego nie mogą oddać łatwo, i ci są to najczęściej ludzie nieszczęśliwi, bo kochają raz na życie, a niezawsze dotrzymuje ono obietnic swoich. Przecież nieszczęśliwsi jeszcze są pewni entuzyaści o łatwym i żywo wybuchającym zapale, bo ci nawet przy wielkiej szlachetności uczuć mogą zmarnować siłę kochania na ogień fajerwerkowy, a potem smutni i rozżaleni oglądają się z goryczą na życie; ale Wanda nie należała bynajmniej do ich rzędu. Mieściła się raczej w kategorii pierwszej, tylko los dał jej to szczęście, że spotkała się młodo z człowiekiem, który mógł obudzić w niej miłość starcząca na całe życie i zapełniająca całe serce — miłość wierną, miłość przecież skazaną na próby długie i ciężkie.

I te to kobiety, która nosiła ją w sercu już lat pięć, cicho, żałośnie pogrzebaną, zapytał p. Roman z podziwem: czy w życiu jej mogą się kryć wspomnienia okrutne? a oczywiście zapełniły się nagle łzami. Nie chciała tego, nie życzyła tego sobie i postanowiła tylko powiedzieć mu spokojnie i krótko: że serce jej już wolnem nie jest, że jest już związana słowem, tak świętem, jakgdyby wymówiła je na stopniach ołtarza — chciała ostrzedz go jedynie i uchronić od zawodu; ale stało się inaczej. Wzruszona, podniecona może widokiem tego ogrodu, zatopionego w ciszy i w falach ciepłego czerwcowego powietrza, wypowiedziała mu historię miłości swojej żywo, gorąco, czasem tłumiąc łzy, czasem dając się unosić uczuciu. Nie opowiadała długo, ale to właśnie skoncentrowanie się dawało jej słowom siłę wielką. Pan Roman, zrazu zmieszany i wzruszony do pewnego stopnia, zaczął z wolna doznawać uczucia przykrego, uczucia wielkiej, prawie namiętnej zażłości.

— Miałaś pani słuszość, utrzymując, że w życiu twojem są smutne i niemiłe wspomnienia — rzekł głosem, w którym usiłował nie okazać doznanego podrażnienia — ale na szczęście jest to już przeszłość i daleka... Nie powinnaś pani przypominać sobie tego, co naturalnie boli cię i zadaje cierpienie.

— Nie przypominam sobie, bom nie zapomniła nigdy — odparła Wanda z powagą smutną. — To też dla mnie nie jest to bynajmniej przeszłością — to terażniejszość moja...

Pan Roman podniósł głowę z pewną żywością. — Ach! — rzekł — pani upajasz się wspomnieniami swemi romantycznie, bo żyjesz na wsi tej zapadłej i bez odpowiedniego otoczenia. To zwykła kara takiego zamknięcia się, odosobnienia takiego...

— A cóż to jest ten świat, który mam w koło? — zapytała patrząc mu w oczy. — To mój świat naturalny, bom się wśród niego urodziła: to są moje obowiązki i... miłości moje...

— No, tak... — odparł p. Roman nie chcąc podrażnić wręcz uczuć Wandy, które też mógł był nazwać romantycznymi, bo romantyzmem było u niego wszystko, co się nie wywodziło potrzebą lub korzyścią materyjalną — no, tak... Pani pojmiesz bardzo idealnie obowiązki swoje, ale daj, że ci to powiem — nie znasz życia...

— Znam... znam miłość i cierpienie, więc znam życie...

— Z jego stron poetycznych i pozwól mi pani powiedzieć: książkowych. Dużo czytałaś i to głównie autorów naszych, którzy są poniekąd wszyscy sentymentalnymi...

Wanda patrzyła na niego uważnie i zadała sobie pytanie: czy ten człowiek nie jest twardym egoistą?

Nigdy nie pociągało ją do niego nic, szczególnie przychylnego ale, jak wogóle większość kobiet, które same złemi nie są, nie sądziła go zbyt surowo. Uważała go za jedną z tych natur przeciętnych, które się urabiają według wpływów otoczenia, i myślała nieraz, że będzie usiłowała oddziaływać na niego, zwłaszcza w kierunku stosunków do wsi, do ludu. Widziała, że kilkakrotnie dał dość sutą jałmużnę biednemu, raz nawet w Wilnie ujął ją tem, że wysypawszy sobie na rękę co miał drobnych w portmonetce, oddał to starej babinie, z pewną dobrocią, jak jej zdawało,

choć mógł to być tylko ten wyższy już polor dobrego wychowania, który ściera pewne ostre kanty natury ludzkiej i przez który młody panicz dający jałmużnę w obecności kobiety, nie ciska jej z góry z pychą takiego pospolitego synka obywatelskiego, którego maluje stare przysłowie: — Znaj pana po cholewach!... Pan Roman wysypał sobie pieniądze na rękę dlatego, aby zobaczyć czy nie zadużo na jałmużnę, a podał je z tą przyzwoitą układnością, do której form nawykł. Kto wie, czy nie byłby minął proszącej staruszki, gdyby Wanda nie była zatrzymała się, aby jej coś dać. Dał więc i on, dał tak, jak wypadało, a gdy stara, zobaczywszy kilka srebrnych piąteczek, objęła go za nogi, powiedział jej z pewną niecierpliwością, którą też oglądziło tylko dobre wychowanie. — No... no... dajcie temu pokój, matko...

Mówił *wy*, mówił *matko*: bo był ze wsi, gdzie wszyscy już, wyjąwszy chyba jakiegoś rozpanoszonego pisarka, tak mówią, lub za młodych lat p. Romana tak mówili do ludzi starych. Obdarowana babina była odziana w suknie wiejskie i jemu pamięć mimowoli przyniosła do ust wyrażenie, do którego nawykł, i tak było z nim w wielu rzeczach. Pewne formy wychowania wypolerowały powierzchwnię.

Było też i mimowolne mięknięcie jego natury w obecności kobiety, dla której czuł już od początku coś, jak zapowiedź miłości. Jej obecność sprawiła mu przyjemność i jak są takie zwierzęta, drapieżne nawet, które lubią muzykę łagodniejszą przy jej dźwiękach i pozwalają wtedy zbliżyć się bezkarnie do siebie, tak on miękł do pewnego stopnia w obecności Wandy. Może nawet byłby uległ pewnemu uszlachetniającemu wpływowi kobiety szlachetnej, gdyby jej serce było obdarzone go wzajemnością. Niejedna ostra i twarda natura egoisty ulepszyła się w ten sposób, podniosła choć trochę nad poziom swój dawny, pod działaniem miłości, i Wanda mogła mieć pewne złudzenia względem tego człowieka, przedewszystkiem samolubnego, który dotąd przedstawiał jej się tak, że doszła do tej rozmowy — do tych zwierzeń, które uważała sobie za obowiązek.

Przerwało je w sam czas zjawienie się przesowej. Spojrzała na siostrzenicę uważnie i spostrzegła, że rozmowa, na którą zostawiła p. Romanowi blisko godzinę czasu, nie była obojętną i suchą prowadzoną. Wanda miała jeszcze w oczach pewien blask, miała w rysach coś, co zostawia po sobie przebyte wzruszenie, i uwierzyła, jak dobremu początkowi. Przypuszczała, a nawet była tego pewną, że Wanda nie zaraz i niełatwo podda się wpływom, które postanowiła ją obsaczyć, ale wierzyła w swoją zręczność. Ta godzina którą przepędziła samotnie, nie została zmarnowaną. Układała różne projekta, różne sposoby działania na siostrzenicę. Ponieważ konie p. Romana przyszły właśnie i służący dał mu o tem znać, on powstał, aby się pożegnać. Nie zatrzymywała go, bo była ciekawą, jak pożegna się z nim Wanda i uczuła się triumfującą, ujrawszy, że podała mu rękę spokojnie i spokojnie, a nawet z pewną dobrocią powiedziała mu: — Do zobaczenia...

Ostatnie jej spostrzeżenie nad p. Romanem nie było jeszcze nieustalone. To coś, co przy ostatniej wymianie słów zraziło ją więcej w jego wzroku, niż w słowach, wytłómaczyła sobie jej dobroć uczuciem zawodu serdecznego. Wiedziała, co to jest kochać i tracić ukochanie swoje, więc pobłażliwą była. — Do widzenia... — rzekła mu też nie zimnym i nie cierpkim głosem.

Teraz kiedy już wiedział, że mu wzajemną być nie może, teraz kiedy już nie narażała go na zawód, mogła go pożegnać dobrotliwie i przyjaźnie

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w Marcu 1888 r.

Z ciężkiem sercem zjeżdżało się w tym roku nasze obywatelstwo na zwykle o tej porze zebrania poszczególnych stowarzyszeń. Do powszechnego znękania przyczyniał się nie mało świeży zawód doznany w sprawie Banku Ziemińskiego, który przy ostatniej naradzie związkowych założycieli bezmała pogrzebanym nie został. Rekryminacje i wyrzuty z tego powodu nam wsząd czynione tem boleśniej nas ranią, iż ostatecznie wiele jest niesprawiedliwości w surowem potępieniu naszego społeczeństwa. Zagrożone materyalnie, chyba najmniej mogło ono osobście złożyć funduszy i raczej budowało nadzieję akcji ratunkowej na pomocy innych dzielnic, kiedy właśnie owa pomoc zawiodła. Niejeden też z oskarżycieli, miotających w pismach publicznych gorzkie słowa, powinienby raczej uderzyć się w piersi i ze skruchą bliższe rozpamiętywać grzechy. Ewangeliczne: „który z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień,“ stosować się też mogą w zupełności. Niemniej świeży ten a bolesny zawód działał przygnębiająco na przybywających do miasta naszego z początkiem bieżącego miesiąca obywateli. Ztąd i obrady centralnego towarzystwa gospodarskiego z początku obracały się w kole zniechęcenia i niewiary w siły społeczne i skuteczność środków. Mniej przebijano się życia w dyskusjach, mniej otuchy w rozbieganych kwestjach rolnictwa zagrożonego. Brakło i kilku głównych powag zawodowych, umiających wnieść iskry ożywe w potoczne i powszednie nad materyalnemi sprawami obrady. Nawet udział liczebny był mniejszym, niż dawniej. Rychło atoli dobroczynne skutki bratniego zetknięcia się dzwignęły zwątpiały, pokrzepiły znękanym. Drugiego, trzeciego i czwartego dnia zaznaczyć nam przyszło większe nierównie ożywienie w zebraniach, lepszą otuchę na czołach, odważniejszy hart w spojrzeniach.

Mówiono sobie: „Precz ze zwątpieniem!“ Raz więcej uchyliłiśmy czoła przed tą piastowską cnotą, która, jak ongi, nie skąpi miodu i mąki jałmużny serca i grosza, czasu i trudu, dobrych chęci i pocziwej służby. Ażeby ocenić, jak przynależy, niewyczerpaną hojność naszej dzielnicy, pamiętać trzeba, w jak opłakanem znajduje się ona położeniu, między przełomem agraryjnym a milionami kolonizacyjnymi.

Nie tu miejsce wdawać się w ocenę rozpraw towarzystwa gospodarskiego; wystarczy wspomnieć podniesienie przez hr. Alexandra Szembekę kwestyi zachowywania paszy zapomocą ciśnienia, używaną od lat kilku we Francji metodą zwaną *ensilage*. Wogóle zbeczenie produktów rolnych, zwraca naszych gospodarzy w dziedzinę umiejętnej hodowli bydła, zaczęła większa część rozpraw dotyczyła różnych sposobów żywienia i tuczenia inwentarza. Podnoszące się u nas leśnictwo dostarczać też zwykło umyślnemu wydziałowi towarzystwa postępowych na tem polu wiadomości i doświadczeń, w czem obecnie przoduje, wykształcony w Tharancie nadleśniczy hr. Żółtowski, p. Markiewicz, który po świetnie złożonych examinach rządowych rozwija chlubną działalność w leśnictwie krajowem, nie zacieśniając jej w obrębie jednej tylko, prywatnej, posiadłości.

Spodziewana zmiana w zarządzie towarzystwa nie doszła do skutku. Od kilku lat dorocznie prezes p. Szuldrzyński wyprasza się od uciążliwego dostojęstwa. Podnoszono niejednokrotnie ewentualność wyboru hr. Alexandra Szembekę lub hr. Stanisława Żółtowskiego; tymczasem p. Szuldrzyński uległ i w tym roku próbom zebrania, aby do przyszłego walnego zjazdu zechciał jeszcze piastować urząd prezesowski. Najpiękniejszym kwiatem Towarzystwa gospodarskiego, a uwieńczeniem marcowych obrad

bywa stale zebranie kółek rolniczych. W bieżącym roku zjazd delegatów i prezesów tych kółek był jeszcze liczniejszym i świetniejszym, aniżeli innych lat. Sala bazarowa, zaiste, malowniczo przedstawiała obraz, gdy się wypełniła włościanami, których dorodne postawy i strój urozmaicony właściwie zebraniu nadawały znamiona. Tu widziałeś prosty kozuch barani, tam starą ojców sukmanę, obok czamar i surdutów, przeważnie zajmujących estradę. Zaczynał patron i założyciel kółek p. Maxymilian Jackowski w przydłuższej odezwał się przemowie, mnożąc złote rady, obok zachęcających przykładów. Wspominał o istniejących 153 kółkach, co na nasze stosunki, wcale pokazną jest liczbą. Poleciał urządzenie pomniejszych wystaw, których w zeszłym roku z powodzeniem odbyło się cztery. Przeciw smutnym doświadczeniom obecnego położenia wskazał podnoszący się poziom moralny i stan materyalny naszych włościan, co w znacznej części kółek jest skutkiem i zasługą. Wystarczy powiedzieć, iż na czele dwunastu z nich, i to najlepiej idących, stoją włościanie. Synowie gospodarzy garną się też ochotnie na zebrania. Uprawa roli ogólnie się podnosi, czego dowodem zakupienie w ostatnim roku 6.000 centnarów sztucznych nawozów przez stowarzyszonych. Rozdawnictwo książeczek o rolnictwie nie ustaje, rozeszło się ich 6.400 od ostatniego walnego zebrania. Nieuniknione koszty ztąd płynące oraz wynagrodzenie wędrownego prelegenta opędza ofiarności publicznej Patron z wdzięcznością przypominał datki złożone na rzecz administracji kółek, co ich rzewność ułatwiło. Nadzwyczaj zajmującym był występ dotyczący stanu kółek w Galicyi. U nas ta błoga instytucja liczy już piętnaście lat istnienia, w Galicyi dopiero przed siedmiu laty powstała, a już świetne wydaje owoce, o czem się czcigodny patron przekonał naocznie, podczas ostatniej w Krakowie wystawy. Obecnie działalność naszych kółek usiłuje w dwa kierunki zwrócić przemysł wiejski: zachęceniem do zakładania sadów przy chatkach oraz pasiek, któreby wznowiły starodawny obyczaj sycenia miodu, aby lud nasz odzwyczaił od używania niezdrowej i nader dziś podrożałej wódki.

Po doskonałej przemowie p. Jackowskiego nastąpiły inne wykłady i rozprawy, a wywiązujące się dyskusje w kwestjach praktycznego rolnictwa i oszczędności uwydatniły wykształcenie, przytomność umysłu, wyższy stopień oświaty, a nawet pewną rodzimą u naszych włościan, wymowę. Ta, oczywiście, szersze pole znajduje na wiecach, których już blisko 90 się odbyło, z olbrzymim nieraz udziałem okolicznego ludu, jak na przykład w Kempnie, gdzie wiecowników znalazło się kilka tysięcy. Wspomniałem już w ostatnim liście moim, jak piękne i zajmujące bywały głosy włościan, kładących nacisk szczególny na ich własne niezadowolnienie z obecnych stosunków szkolnych, celem zaprzeczenia twierdzeniu prasy niemieckiej, przypisującej duchowieństwu i szlachcie sztuczne podsycanie rzekomo nieustającej wśród ludu świadomości krzywd swoich. Jaką jest owa świadomość, jak się rozwija, jak kształcenia się w wyguanej przez obecny systemat ze szkół mowie ojczystej,—dowodzi, np. fakt następujący.

Po kilku wiecach odbytych w jednej okolicy główny ich promotor otrzymał list od gospodarza wsi sąsiedniej, z ofiarą 50 marek na założenie czytelnicy ludowej. Tak pokazna suma świadczy, zaiste, o wysoko rozwiniętej w prostym chłopku cnotcie obywatelskiej.

Zakładanie spółek Raiffeisen'a, które tak zbawienne oddziały na dobrobyt Ludu Westfalskiego, jest obecnie główną troską kierowników kółek rolniczych. Dopiero cztery spółki podobne się zawiązały, jest atoli nadzieja, że ich liczba rychło się wznoży.

Nadzwyczaj pocieszające wrażenie sprawiło nam także walne zebranie Towarzystwa czytelnicy ludowych, oraz sprawozdanie z całorocznej ich działalności. Mimo nieprzyjajnych warunków i lokalnego w wielu miejscowościach prześladowania, mimo zakazów policyjnych, wycofujących z obiegu książki, które od lat wielu miały prawo obiegu w Prusach, i nieraz nawet bywały tłoma-

czone z niemieckiego, co nie starczyło, aby je przed surowością nowych praw zasłonić, świetnie zaiste, liczby przyszło nam stwierdzić w referacie sekretarza, p. Łebńskiego. Wprawdzie składki regularnych członków nieco się zmniejszyły, ale za to nadzwyczajne datki tak dalece poprawiły by materyalny instytut, iż wyrównała ona i spłaciła wszelkie dawniejsze długi i zaległości. Prawda, iż znalazł się np. hojny dobroczyńca, który na ten cel złożył bezimiennie 10,000 marek, a nie brakło i innych, którzy legatem, lub datkiem 1,000, 800 i 500 m. nie mało podnieśli materyalny stan Towarzystwa. To też swobodnie i szerzej może ono dziś wywierać swe wpływy. Liczba bibliotek, skutkiem mnożących się żądań, powiększyła się o 113. Książek rozeszło się za pośrednictwem towarzystwa 39,000, kiedy w ostatnich dwóch latach roczna liczba nie przechodziła 17,000. Obecnie katalog obejmuje 455 numerów książek, z których 227 wydanych w Księstwie, Prusach i Szląsku, 108 w Warszawie, 10ż zaś w Galicyi. Członków towarzystwa jest obecnie 418. Przewodniczącym obrano młodego a wielce czynnego naszego obywatela, p. Wojciecha Łebńskiego.

Nie wiadomo, czy Bank Ziemiński zdoła dać jeszcze jakiegokolwiek dowody żywotności. Tym, których ofiarność pragnęła nieść pomoc bratnią pokrewnym niedolom, warto przypomnieć, iż nie samym chlebem żyje człowiek, iż nie samym groszem można okazać skuteczną pomoc. Dar wyborowych ludowych publikacji i elementarzy, nadzwyczaj byłby pożądanym, a pod tym względem znalazły się już dobre przykłady i hojne datki. Wspomnijmy dobroczynną ofiarę p. Apolonii Cichowskiej, która na ręce waszego korespondenta nadesłała dwanaście sześciotomowych egzemplarzy ułożonych przez się według ks. Skarżki „Żywotów Świątych“, przeznaczając je dla czytelnicy ludowych w naszej dzielnicy. Wdzięczność odbiorców tak hojnego daru w rzewnych słowach ujawniła onego pożytek i zdwojoną w tej chwili doniosłość.

Wśród licznych atoli stowarzyszeń, przynoszących zaszczyt wytrwałej pracy naszego obywatelstwa, otaczaną szczególnem uczuciem instytucją jest zawsze Towarzystwo Pomocy Naukowej. Serce Marcinkowskiego płomiennem tętnem zawsze zda się ożywiać to dziecię jego ducha, które się już dolicza 47-go roku istnienia, i za trzy lata, da Bóg doczekać, święcie będzie półwiekową swego założenia pamiątkę. Gorące przywiązanie naszej społeczności do Pomocy Naukowej wciąż zasila zapisami umierających i datkami żyjących fundusze dobroczynnej instytucji. Wystarczy wspomnieć, iż w ostatnim roku rozdała ona około 50,000 marek pomiędzy 258 stypendystów. Rozmaitość kierunku korzystającej z dobrodziejstw pomocy naukowej młodzieży uwydatnia się w szczegółowym sprawozdaniu. Nie brak tam lewitów, szukających zagranicą teologicznego wykształcenia, którego przy utrwalonem zamknięciu poznańskiego seminarium dostąpić w kraju nie mogło. Znalazł się cały zastęp przyszłych lekarzy, dentystów, aptekarzy, weterynarzy, dalej spory procent uczniów handlowych, aplikantów w szkołach sztuk pięknych, leśników, górników, budowniczych, organistów, a nawet prostych rzemieślników zawodowych, kształcących się w ślusarniach i lejarniach żelaza. I uczniowie szkół technicznych w poważnej liczbie korzystali z dobrodziejstw tego towarzystwa. Ład, wzorowa organizacja tej wspaniałej instytucji słuszny budzi podziw i uznanie, dowodzące raz więcej, jak nie-słuszne bywa wzdardliwe wyrażenie *polnische Wirtschaft*, którem Niemcy usiłują napiętnować naszą gospodarkę. Sprawiedliwi, zamiast wojować nienawistnym komunalem, uchylają czoła wobec wytrwałości i umiejętności naszego rolnictwa, naszych urzędów związkowych, naszych niezłomnych usiłowań, niepowstrzymanych piętrzącą się przeciwności falą.

(Dokończenie nastąpi).

Nowoczesne salony paryżkie.

Francuz każdy jest w wysokim stopniu człowiekiem towarzyskim — musi żyć, czuć, myśleć w gromadzie, i to daje pewien specjalny nastrój obyczajom, odbija się na wszystkim, poczynając od polityki a kończąc na domowym i rodzinnym życiu narodu. Salon gra też we Francji rolę większą, niż gdziekolwiek indziej i salony paryżskie są niemal instytucją społeczną; trzeba też uważać je jako miejsce zgromadzenia się pewnych grup ludzi podobnych sobie gustów i przekonań, którzy zbierają się peryodycznie w domu sympatycznej i rozumnej kobiety, bo taka tylko może mieć w Paryżu salon w jego wyższym znaczeniu, to jest niezaciekawionem do czterech mniej więcej obszerne, mniej więcej eleganckich kątów, gdzie gospodyni mniej więcej ustrojona gości swoich przyjmuje.

Prawdziwy paryżki „salon“ pociąga do siebie ludzi wielorakim sposobem. Francuzi uczynili z rozmowy coś, jak jedną sztukę więcej, co odbija się na salonie paryżkim, w sposób trudny do naśladowania. Obok przyjemności towarzyskich musi on przedstawiać przyjemności natury intelektualnej i konieczną jego dewizą jest: „nic ludzkiego obcem mi nie jest...“ Salony paryżkie są przecież rozmaitych odcieni: literackie, artystyczne, polityczne—lecz do najprzedniejszych liczą się te, gdzie przebywający gość znajduje to wszystko w połączeniu.

Wpływ salonu dał w ręce kobiety francuskiej potęgę niepospolitą, pewnego rodzaju królowanie, jak się wyrażają cudzoziemcy, których zaraz na wstępie uderza jej znaczenie w ruchu życia społecznego.

Paryżanka umie rozmawiać, jak żadna inna kobieta na świecie, bo umie poddawać współpracującą materię do rozmowy, którą dowcip jej ożywia, a spryt towarzyski kieruje, i każdy przebywający w Paryżu, może bez zawodu zapisać sobie na liście przyjemności: rozmowę... Sainte Beuve w swoich ongi sławnych kronikach życia paryżkiego: „Causeries du Lundi“ uczynił się historykiem wpływu, wywieranego przez salony, od czasów pani de Rambouillet do pani Récamier. Niezrównany ten felietonista chciał, — jak przyznaje się czytelnikowi, — spisać dzieje paryżkiej rozmowy i pokazać rolę, którą odgrywała w tem kobieta. Ona to, będąc tu na swoim gruncie, dawała ton, więc ona nastrojała umysł i w tem znaczeniu salony paryżkie pań: de Staël, Guizot, de Rému-at, trzeba uważać za rzeczywiste czynniki w rozwoju opinii i życia paryżkiego z ich epoki, przez ich pośrednie, ale bynajmniej nie małe, oddziaływanie na kierunki literatury, sztuki—polityki nawet. Salon zbliżał do siebie ludzi różnych stronnictw i poglądów, był polem ścierania się zdań w sposób inny zgoła, niż to być może wtedy, gdy rzecz odbywa się publicznie, lub jest prowadzona piśmiennie, bo tu względy towarzyskie nie dają wybuchać namiętnościom, więc zmuszają do lepszego wysłuchania przeciwnika. Salon zapoznawał też między sobą ludzi, zogniskowywał, zatem rozpowszechniał, popularyzował pewne myśli zapomocą organu, nie zastąpionego przez żadnego rodzaju telefon—przez żywe słowo, które wprost od człowieka do człowieka myśl niesie.

Ze zmianą politycznych stosunków Francji, a może więcej jeszcze ze zmianą kierunków myślenia, poczęto przypuszczać, że salon w jego wyżej określonym znaczeniu, zaginie, że ostatnim z ich rzędu był gromadzący tygodniowe zebrania u p. de Molh, łagodnej, dobrotliwej, więcej głębokiego, niż świetnego umysłu kobiety, która jednak do swego skromnego pomieszkanka przy ulicy du Bac, ścigała nietylko kwiat inteligencji paryżkiej, ale i cudzoziemców, dających się zaliczyć do tej kategorii. Ale omylono się. Salon nie przepadł; choć zmienił się w naturze swych dawnych warunków, i nie jest to już tradycyjny salon paryżki

w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Spopularyzował się, skosmopolityzował, a zarazem jest on obecnie—legion.

Chcąc scharakteryzować dzisiejszy salon paryżki, trzeba też podzielić go na grupy, co jest jeszcze godnym trudu, bo choć gatunkowa jego wartość obniżyła się, niemniej wywiera on swój wpływ, i w obyczajach społecznej Francji ma znaczenie swoje.

Najpierw zacząć wypada od salonów wielkiego świata. Te są poważniejsze w tonie i nastroju swoim, tylko mają jedną, ale zasadniczą wadę—że są nierzadko nudne! Nie znajdzie się tam nigdy osobistość wątpliwej wartości moralnej, panuje atmosfera, którą oddychają ludzie przyzwyczajeni i dobrze wychowani, ale wręcz przeciwnie tradycjom przeszłości, braknie tu ożywczej siły wyższej inteligencji, któraby stanowiła iskrę, ocieplającą chłód, jaki tu panuje i była klejem spajającym. Ludzie bywają tu głównie dla stosunków, dla dobrego tonu i przepędzają pewną liczbę godzin na konwencyonalnej rozmowie, na konwencyonalnym zajęciu się literaturą, sztuką. Z kolei idą salony polityczne, gdzie już nie braknie ruchu, rozmaitości—gdzie goście zmieniają się co wieczór, jak obrazki w kalejdoskopie, i tu pierwsze miejsce trzyma salon byłej redaktorki „Nouvelle Revue“ p. Julietty Adam, która wśród całej falangi Paryżanek, ubiegających się o wytworzenie salonu politycznego, jest postacią najwybitniejszą. Kobieta to jeszcze niemal piękna, choć już babką została: ambitna, a raczej, wyrażając się ściślej,—ogromnie próżna, ale bardzo silnej woli i niezmordowanie energiczna. Trzeba jej przyznać pewien patriotyzm, ale jest on wielce hałaśliwy i ruchliwy niesłuchanie, lubując się w efektach. Charakterystykę jej salonu określają wybornie słowa pewnego Anglika, który, wychodząc z różnorodnego tłoku, jaki tam zastał, rzekł do paryżkiego swego cyserona: „It is as mixed, as the *Dictionnaire des Contemporains*“ (Jest tu taka mieszanina, jak w słowniku współczesnych).

Są też w Paryżu salony, których ogólnikową nazwę pożyczono od Balzaca z jego *Komedji Ludzkiej*: „Salony państwa de Rastagouères.“ Świeci tu olśniewająco blask złota, panuje królestwo pieniędzy, a kto miał zaszczyt znajdować się choć raz jeden na pokojach państwa de Rastagouères, zrozumie, jak indywidualność kobiety wyciska piętno swoje na towarzyskich stosunkach ludzi! Jaka kobieta, taki dom — jego charakter, jego atmosfera, i za żadne pieniądze, za żadne skarby świata nie da się tu otrzymać nic innego. Czego jej brak osobiście brakować tu musi...

Wśród salonów środkujących pomiędzy wielkim światem, a sferą inteligencji, sztuki i artystów pierwsze miejsce trzyma salon księżny de Rochefoucauld-Bisaccia. Ton tu wysoki, a ludzi zawsze mnóstwo; gospodyni nie ubiega się o nowości — osobistości rozgłośnie i bohaterów chwili, ale i bez tego jest tu zawsze, zwłaszcza dla cudzoziemca, co widzieć i co słyszeć. Bywa tu kilku „niesmiertelnych“, to jest akademików, towarzystwo wogóle inteligentne i doborowe.

Drugim z kolei i podobnym z charakteru jest salon księżny de Luynes. Kobieta to wielce szanowana za powagę i takt w życiu, za jego podniosłość, przytem natura artystyczna, wysokich idealnych polotów. Owdowiała w dwudziestym którymś roku, piękna i bogata, niedotknięta poszlaką najmniejszej płochości, lekkości nawet, nie pomyślała nigdy o zawarciu związków nowych. W Dampierre, starej posiadłości swego rodu, zbudowała zmarłemu mężowi bardzo piękne mauzoleum, choć całe Dampierre, gdzie księżna przepędza zwykle wiosnę i lato, zamieniła w pomnik człowieka, którego miłość starczy jej na całe życie. Wszystko i wszędzie: w pałacu, w ogrodach, w urządzeniach wszystkich pozostało w stanie takim, jak za jego życia, a że nieboszczyk był uczciwym człowiekiem i dobrym obywatelem, kochanym bardzo przez ludność włości swoich, więc w Dampierre wszystko jest wzorowo i wzorowo utrzymanem.

To jest pamiątką dla wdowy, która od śmierci męża nie zdjęła już nigdy czarnej sukni, ale istota jej silna umiała dojść do spokojnej harmo-

ni—do zgody z losem swoim i utrzymać niezmienną nigdy równowagę ducha. Nie zatraciła w sobie interessu dla wyższych stron istnienia ludzkiego i życie jej może służyć za przykład energii prawdziwie samodzielnego ducha kobiety, bo nie zrywając stosunków ze sferą, z której wychodzi, nie ulega bynajmniej jej wpływom. Gorąco patriotyczna, więc silnie się interesująca wszystkim, co stanowi chwałę i postęp, wielkość Francji, uchroniła się przez to może od odrębności kastowej.

Postać to niepospolita i odbija świetlano na tle dzisiejszej Francji. Gdyby nie była tak znaną w Paryżu, jak jest, a ktoś napisał o niej książkę, powiedziałaby niejedną krytyk: — Niema w tem prawdy życia... Fikcyja sentymentalna i naciągana... Księżna de Luynes zostaje w przyjaznych stosunkach z rodzinami polskimi, zamieszkującymi Paryż.

Do wyższych postaci kobiecych w stolicy Francji należy piękna hrabina de Beaumont, siostra marszałkowej Mac-Mahon, lecz tę i jej salon zaliczyć trzeba do sfery artystycznej, jest bowiem utalentowaną rzeźbiarką, lubi przebywać między ludźmi wyższego nastroju umysłu i ducha, lubi też widzieć i przyjmować u siebie niewielkie, ale wyborowe ich gronko. Tłumne przyjęcia nie przypadają jej do smaku; wprawdzie bogatą nie jest, lecz gdyby nawet miała fortunę największą, nigdyby nie otworzyła drzwi swoich narości, bo szum i tłum różnorodny nie sprawiałby jej przyjemności. Wybredna jest bardzo pod względem towarzyskim i z usposobienia lubi szczególnie: „des petites causeries.“

To też nie każdy kto chce, dostać się do niej może. Recepcyjnym jej salonem jest obszerna i z wielkim, prawdziwie artystycznym smakiem urządzone pracownia jej rzeźbiarska, i tam-to gromadzi się co tydzień kółko jej przyjaciół i bliższych znajomych, obsiadając duży stół okrągły, na którym wrze samowar. Gospodyni sama nalewa gościom herbatę, do której padają eleganckie skibki chleba z masłem i rozmaitemi przyprawami.

Taki salon w sferze towarzyskiej, do której należy hr. de Beaumont, to nowy rys w społeczeństwie francuskiem.

A rys to zalecający się niezmiernie. Ludziom potrzebną jest wymiana myśli, potrzebnem jest pewne oderwanie się od powszedniości codziennej i dać to mogą takie właśnie zebrania ludzi inteligentnych i przyjaznych sobie—zebrania bez zbytku, bez trudu i zachołu męczącego, które nie rujnują materyalnie, a duchowo budują tylko. Dodać tu jeszcze potrzeba, że hr. de Beaumont obok swobody artystycznej, jaką się odznaczają jej przyjęcia, jest bardzo dbała w wyborze towarzystwa. Nie wchodzi tu cyganerya żadnego rodzaju i każda ręka, co się tu do przybywającego wyciągnie, jest niewątpliwie ręką czystą, która nie wala podanej sobie dłoni, a znaczy to bardzo wiele.

Znaczy to, tak w stosunku do osobistej godności gospodyni, jak i bywających u niej gości, bo nie spotkają tu nigdy nikogo, którego znajomość byłaby im mało pożądaną.

Dwie panie, zarówno inteligentne i przyjemne: M-me Aubernon, i żona Renana, współubiegają się o palmę pierwszego literackiego salonu, ale góruje nad obydwiema już niemłoda, bo siwowłosa, matrona, prawdziwa wielka pani dobrego tonu, margrabina de Blocqueville. Córka napoleońskiego żołnierza i marszałka Francji, księcia Eckmühle, jest Francuzką i patriotką do szpiku kości, z rzadką wyniosłością ducha, z rzadką u kobiety dzielnością i odwagą. Nie porzuciła Paryża w czasie oblężenia, nie porzuciła Paryża w czasie okropności komuny, bo wyjechała wtedy, było to, według jej zdania, zbiegnięciem ze stanowiska obrony najdroższych interesów Francji. „Ujeżdżać przed oblężeniem, to—mówiła—zrywać węzeł braterstwa z tymi, którzy dla Francji cierpieć muszą i podkopywać ich energią; uciekać przed buntem zuchwałej zgrai, to wydawać w jej ręce Paryż i sztandar Francji, który tchórzowstwo rzuciło o ziemię.“ Została też, przeżyła wszystkie nędze oblężenia, aż za krwawych dni komuny motłoch dziki wtargnął

raz do jej pałacu i pchał się już na schody, z myślą rabunku, lecz ona kazała podać sobie jaknajśpieszniej czarną aksamitną suknię i otworzyć na rozścież wszystkie drzwi, aż do wielkiego salonu, w którym czekała, stojąc w pośrodku.—Czego żądacie, obywatelu?—zapytała pierwszych, którzy ukazali się w progu.

— Mój ojciec — tu wskazała na jego portret naturalnej wielkości i w pełnym mundurze generała—walczył za Francją; mój mąż też żołnierz, i waleczny, był uczciwym człowiekiem, nigdy nie nie winnym nikomu, a ja czem wam służyć mogę?

Zmieszano się. Zimna krew i odwaga samotnej, siwej kobiety zaimponowała. Tłoczono się, aby patrzeć na portret Davoust'a, lecz potem ustąpiono spokojnie, a gdy nakoniec znalazła się sama, posłała natychmiast 500 franków na biednych swej dzielnicy.

Taka kobieta prócz szacunku, który budzi, posiada dość godności, aby jej poszukiwano, dość towarzyskiego powabu, aby ludzie życzyli sobie bywać u niej i można powiedzieć, że w Paryżu ona ma pierwszy salon literacki i bywać u niej znaczy to pozyskać pewne znaczenie w świecie, zdobyć sobie list polecający: świadectwo dobrego obywatela i Francuza kraj kochającego. Jest też to jedna z piękniejszych, szlachetniejszych postaci kobiecych, jakich coraz mniej wśród dzisiejszego społeczeństwa, przynajmniej paryżkiego.

Albin.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Trzęsienia ziemi.—Narcoza.—La couveuse d'enfants.—Bacilus Indya.—Doryphora decem lineata.—Zgęszczenie mleka i nafty. Palczak (Aye—Aye).

Prócz pamiętnego trzęsienia ziemi, jakie miało miejsce w Lutym roku zeszłego, na uroczej Rivierze, kataklizmy podobnego rodzaju wydarzały się w ubiegłym roku w Azji Środkowej, w Meksyku, Japonii, i innych miejscowościach, jakkolwiek ogromem nieszczęścia, niektóre z nich przewyższyły trzęsienie ziemi na Rivierze, przeszły, z powodu znacznej odległości od nas, bez większego wrażenia i współczucia.

Fenomena te natury były powodem głębszego zastanowienia się nad ich istotą i wydały kilka nowych teorii. Przytaczamy tu jedną z nich, mianowicie znanego badacza natury Ludwika Figuiera. Oto co uczony ten pisze w tym względzie w swem „Année Scientifique“: „Sądźmy, że wszelkie teorie o przyciąganiu płynu znajdującego się we wnętrzu ziemi, przez planety, o wpływie lodników, o przyczynie elektrycznej i t. p., są zbyt problematyczne, ażeby można się na nich opierać, tembardziej, że jeżeli się tak wyrazimy, mamy pod ręką przyczynę wywołującą trzęsienie ziemi, a którą geologowie odrzucają jedynie z powodu jej prostoty.

Przyczynę tę widzimy w bezustannem stygnięciu naszego globu. Jej wnętrze, zaledwie w głębokości 30 mil od powierzchni jest w stanie płynnym. Jest to teoria zasadnicza geologii i bez niej wielu faktów nie możnaby sobie wytłumaczyć. Otóż skutek ciągłego ochładzania się ziemi pewna część jej płynna przechodzi w stan stały. Ta przemiana lawy znajdującej się we wnętrzu ziemi, wywołuje stopniowe zmniejszanie się objętości ziemi. Ztąd części stałe znajdujące się ponad nowo skrzepłemi zostają wprawione w pewien ruch, który zowiemy trzęsieniem ziemi.

Opierając się na tej teorii, zjawiska trzęsienia ziemi nie mają żadnego związku z wybuchami wulkanów, między którymi zwykle upatrywano ścisły związek, według nas niema ku temu żadnej podstawy i trzęsienia ziemi odbywają się zupełnie niezależnie od wybuchów wulkanów. Wulkany rozmieszczone są nad brzegami oceanów, a trzęsienia ziemi odbywają się prawie na całej

jej powierzchni, w znacznym oddaleniu od brzegów mórz i oceanów.

Te dwa zjawiska przeto są zależnemi od różnych przyczyn, których tu bliżej rozpatrywać nie możemy.

Mamy tedy prócz teorii Falka i Flammariona, o których w roku zeszłym obszernie mówiliśmy w „Bluszczu“, teorii Figuiera opierającą się również tylko na hipotezach, a nie na ścisłych danych naukowych, o które w tym razie, trzeba przyznać, nie łatwo.

* * *

Znany amerykański fizjolog Schömacker, w celu zbadania wpływu odurzenia (narcosis) na władze psychiczne poddawał się usypianiu za pośrednictwem etteru i o to rezultat, jaki z takowych ogłasza: „Starałem się oile to było w mej mocy jak najdłużej zachować świadomość mego stanu. Natychmiast po pierwszym wetchnieniu próbowałem mówić, nie mogłem jednakże ani jednego słowa z krtani wydobyć, nic prócz chrapliwego tonu, artykułowanych dźwięków złożyć nie potrafiłem. Po trzecim, czy też czwartym wetchnieniu straciłem wzrok, słuch, zapach i smak. Doznawałem uczucia utraty przytomności, mogłem jednak zdawać sobie na tyle sprawę; że nie wierzę w zupełną utratę przytomności, był to stan zbliżony do tego, jaki się doświadcza śniąc. Wkrótce nastąpiło znieczulenie, nie czułem lżejszego ukłócia, jakie mi sprawiał kolega, narkotyzujący mnie. Nie była to jednakże kompletna bezczulość, gdyż silniejsze ukłócia sprawiały mi pewien rodzaj bólu. Wpadłem następnie w stan nieokreślonego strachu, którego mimo największych wysiłków woli pozbyć się nie mogłem. Jakkolwiek nie mogłem dokładnie odróżnić osoby mego kolegi, do którego miałem najzupełniejsze zaufanie, zaliczałem go bowiem do najszczerzych przyjaciół, sądziłem, iż mnie w okropny sposób dręczy. Pobudzenie psychiczne z jednoczesną niemocą cielesną było nieznośne nad wyraz. Następnie doznawałem strasznego przygnębienia i jednocześnie dostrzegłem dwie równoległe świecące bez końca linie, biegnące falowato, z jakiejś ciemnej przepaści biorące początek; falowaniu temu towarzyszył szmer podobny do tego, jaki wydaje kołowrotek. Prócz tej halucynacji nic nie mogłem odróżnić, podobnie niepodobna mi było zebrać myśli lub wykonać jakoweś poruszenie. Stopniowo świecące linie poczęły błędnąć, aż znikły w zupełności. Od tej chwili zacząłem powracać powoli do władz umysłowych. Najpierw odetchnąłem bardzo głęboko. Zacząłem pojmywać mój stan, że znajduję się w uspieniu, w uspieniu graniczącem ze śmiercią, lecz to mnie bynajmniej nie przerażało: przeciwnie, doznawałem jakiegoś błędnego uczucia, zdawało mi się bowiem, że jestem obdarzony władzą przeniknięcia tajemnicy życia, jakgdyby zasłona okrywająca prawdę rozdarta została. Doznawałem wrażenia jakgdybym był w trakcie dokonania niezmiernie ważnego odkrycia, że takowego natychmiast po zupełnym powrocie do przytomności dokonam, że oddam temsamem ludzkości kolosalną przysługę... W tej chwili obudziłem się.“

* * *

Dzienniki paryżkie podają obszernie sprawozdania o trojczkach urodzonych przedwcześnie w klinice położniczej przy ulicy d'Arras i pomieszczonych w specjalnie urządzonej przyrzadzie dla ułatwienia rozwoju dzieci, cieszących się dotąd pożądanym zdrowiem, tak, że można przypuszczać obecnie, iż się w zupełności rozwinią.

Znanym jest powszechnie przyrząd do sztucznego wylęgania kurcząt, w którym z jajek już po kilku dniach wylęgają się ładne kurczątka.

Dzieci przedwcześnie przyszłe na świat, czyli jak je nazywają niedonoszone, są nadzwyczaj słabymi, ich delikatny organizm jest tak wrażliwym, że nie jest w stanie znieść wpływu świata zewnętrznego, z którego już o własnych siłach, delikatnemi swemi organami mają czerpać po-

wietrze i trawie podawane pokarmy. Organa oddychania i krążenia nie są jeszcze do tego stopnia rozwinięte, aby mogły oddychać tem powietrzem, jakim wszyscy oddychają i przyswajają z niego niezbędny gaz t. j. tlen do samostajnego życia.

Jeżeli je zostawić w zwykłych, dla nich nieprzychylnych, warunkach, umierają bardzo prędko. W tym celu zbudowano przyrząd, prawie identyczny z tym, jakiego używają do wylęgania kurcząt, i nazwano go wylęgaczem dzieci (couveuse d'enfants).

Składa się on ze skrzyni o podwójnem dnie pomieszczonej na kamionkach wypełnionych gorącą wodą, którą w miarę ochładzania się zmieniają, temperatura regulowaną jest za pośrednictwem termometru znajdującego się w skrzynce.

We wnętrzu skrzynki pomieszcza się koszyk wypełniony watą, w którą wkłada się noworodka. Przez szklane pokrycie skrzyni można obserwować rozwijanie się dziecka. Zapomocą przyrządu kauczukowego w oznaczonych przez lekarza godzinach i ilości podaje się pożywienie. Do skrzyni zapomocą rury komunikującej z odpowiednio urządzonym piecem przyplęwa czyste i ciepłe powietrze, którego wentylacja jest bezustanna, a temperatura reguluje się termometrem.

W ten sposób dziecko zabezpieczone od wszelkich szkodliwych wpływów, jako to: zimna, wilgoci, a co najważniejsza, od chorobotwórczych mikrobow, zaopatrzone w odpowiednią żywność i czystość, rozwija się dosyć szybko.

Rezultaty tego sposobu, nad którym bezustannie w Paryżu robią się obserwacje, są ze wszech miar zadawalające.

W wyżej wspomnianej klinice doktorzy Farnier, Chantreuil i Budin otrzymywali dodatnie rezultaty na dzieciach zrodzonych w 6-tym miesiącu ciąży.

Na 100 takich dzieci 30 utrzymano przy życiu.

Kronika działalności kobiecej.

P. Bronisława Malinowska uczennica szkoły malarskiej dla kobiet p. Wiesiołowskiego, a znana publiczności za prac, pomieszczanych na wystawie szkiców i wystawach sztuki, stosowanej do przemysłu, zamierza otworzyć szkołę malowania dla kobiet.

— P. Anna Bilińska wystawiła na dorocznej kobiecej wystawie paryżkiej portret jakiejś francuzkiej pani. Własny jej portret: ten, który dostąpił tyle honorów i nagród i przyniósł autorce zasłużoną sławę, został przez nią подарowany Muzeum Krakowskiemu.

— P. Krzywska nadesłała na naszą wystawę sztuk pięknych rzeźbę: „Chrystus w grobie.“ Jest to nowa siła artystyczna wśród sztukmistrzów naszych.

— Łódzkie Towarzystwo Dobroczynności w dorocznym sprawozdaniu swoim zamieszcza pochwałę „niezmordowanej czynności“ pań, tworzących cztery komitety dobroczynne, a pochwała ta odnosi się do zeszłorocznych podarków gwiazdkowych, oraz wsparć tygodniowych, lub jednorazowych. Lecz kronikarz *Gazety Łódzkiej*—a dodać należy, że pióro to bardzo utalentowane i bardzo sympatyczne,—nie zdaje się być zadowolony, i bardzo słusznie, z takiej ograniczonej działalności, która już dlatego samego nie może być nazywana niezmordowaną, chyba ze względu, że nie mordowała się zanadto. A mogłaby przecież, powinaby nawet rozwinąć się szerzej, działać gorliwiej, bo towarzystwo ma środki po temu, które leżą nieużytkowane. Sprawozdanie wykazuje 13,000 rs. remanentu, kiedy tymczasem ustawa towarzystwa nie wspomina nie o kapitalizowaniu sum posiadanych, zatem kapitalizowanie nie leżało w myśli ustawodawców, więc miejsca mieć nie powinno. Łódź mieści w murach

swoich bardzo wiele biedy, wreszcie w każdym mieście fabrycznym, jest zawsze prócz nędzy materialnej do spomożenia, mnóstwo potrzeb, wymagających wsparcia moralnego: jest potrzeba czuwania nad dzieciństwem opuszczonym samotnie, i starością bezsilną nad dziewczętami młode—nad kobietą wogóle, której los jako robotnicy fabrycznej, jest na całym świecie bardzo smutny i nad którą też na całym świecie rozciąga się opieka dobroczynna — opieka kobiety, szczęśliwej w społeczeństwie postawionej. *Sarmaticus* w swoim sprawozdaniu z *Tygodnia*, wspominając, że paragraf 2-gi ustawy *Łódzkiego Towarzystwa Dobroczynności* wskazuje cele, które podjąć należy, dopomina się niejako, aby wzięły w tem udział panie owych czterech kobiecych komitetów.

— Na walnem zebraniu *Towarzystwa oszczędności kobiet*, które zostało założone we Lwowie w 1886 r. z celem najszlachetniejszej dobroczynności, sprawozdanie z działań Towarzystwa wykazało, że zakupiono 17 akcji Poznańskiego Banku ratunkowego po 1,000 marek. W kasie towarzystwa znajduje się zapasowego kapitału 5,120 zł. r. Na przewodniczącą wybrano księżnę Sapieżynę, lecz ta przezacna pani, jest właśnie bardzo chora. Wiekowa też już jest i żywot jej nie był próżniaczny.

— Muncypalność rzymska pomieściła na Monte Pincio między pomnikami wielkich ludzi włoskich popiersie Wiktorii Colonna — a pierwsza to w tem miejscu postać kobieca i niewątpliwie godna tego pośmiertnego zaszczytu. Życie szlachetnej przyjaciółki Michała Anioła, jest tak ogólnie znanem, że kolei jego nie potrzeba przypominać i pisma włoskie podnoszą przecież przy okoliczności fakt jeden mniej wiadomy, a to list tej wielkodusznej pani, pisany do męża Ferdynanda d'Avalos, gdy po zwycięskiej bitwie pod Pawią, w 1525 roku, signoria Neapolu ofiarowała mu koronę królewską. Wobec otwierającej się przed nią perspektywy tronu i purpury, szlachetna kobieta pisze mężowi: „Miej na pamięci tę cnotę twoją, która cię czyni większym nad króla. Nie pragnę być małżonką monarchy, ale małżonką wielkiego wodza i rycerza chrześcijańskiego, który wie jak zwyciężać, nie tylko w bojach przez waleczność, ale w pokoju przez wielkoduszość.“

Gdy się jeszcze przypomni wiek, w którym to pisała,—czasy moralnej i politycznej Włoch przewrotności i upadku charakterów, wyniosłość ducha kobiety podnosi się wyżej i czyni ją dość dostojną, aby stała w pierwszym rzędzie wielkich ludzi swojej ojczyzny. Włoska *Rassegna Femminale* upomina się niemniej dla innych jeszcze rodaczek swoich chwały marmurowego wyniesienia na Monte Pincio i pisze: „Powinno tam znaleźć się miejsce dla Eleonory d'Arborea, Katarzyny de Medici i hrabiny Matyldy, jako dla wielkich statystek. Mieć je powinna Stamura i Katarzyna Segerana, jako wielkie patriotki, S-ta Katarzyna Sienińska dla sławy cnot chrześcijańskich; uczona Olimpia Fulvia Morato, zasiadająca na katedrze professorskiej w uniwersytecie Heidelberskim; Eleonora Fonseca Piment i Luiga Sanfelice, dwie męczenniczki ostatnich przejść włoskiej ojczyzny, Dalej podnosi się z nieprzedawnionem prawem do tej godności Gaëtana Agnesi, najuczciwsza kobieta włoska; i'roperzia Rossi, rzeźbiarka; Gaspara Stampa i Emina Fua Fusinato,—pisarki.

Życie i literacką działalność tej ostatniej, znają czytelnicy naszego pisma.

— Zona Wilsona przedstawia obraz bardzo nieszczęśliwej kobiety, która godną jest czi przez szlachetny sposób, w jaki znosi niedolę

swoją. Jej uczucie żony nie posunęło się aż do tej miękkiej niemocy serca, która nie umie odebrać się od przedmiotu ukochania swego wtedy nawet, gdy okrutna prawda wykaże jej go nagle zmienionym i innym, niż przedstawiał się dotąd ludziom i jej zawiedzionym oczom. Póki jeszcze sprawa toczyła się w sądach, póki jeszcze bronił się i usprawiedliwić usiłował, była przy nim—żyła z nim pod jednym dachem i nieodstąpiła dopóty, dopóki istnieć mogła jeszcze choć iskierka nadziei, że ten jej mąż i ojciec jej dzieci, jest sądnym zbyt surowo, że może ulega potwarzom miotanym na niego przez interessa stronnicze, i niesumienności przeciwników politycznych. Ale gdy smutna prawda wystąpiła z debatów sądowych, gdy skazanym został na hańbiącą karę więzienia, ta pobłażliwość ustąpiła odrazu. Już widać biedna kobieta cierpiała bardzo w ciągu procesu, bo wiadomość o skazaniu męża otrzymała z ust matki, aby mogła być jej obwieszona najlagodniej—aby miała przy sobie w chwili ciosu najdroższe dla istoty ludzkiej objęcie, w które paść można tak w chwili słabości z płaczem i jękiem swej boleści, jak się w nie padało w latach dziecięcej niemocy. Ale Wilsonowa ma boleść mocną: nie roztkliwia się nad człowiekiem nikczemnym, nie poczuwa się już względem niego do tych obowiązków żony, które zaprzysięgała, mówiąc: „a iż cię nie opuszczę, aż do śmierci!“ Niema chrześcijańskiej przysięgi takiej dla wspólki życia z nieuczciwością i nieszczęśliwą, przejęta boleścią i wstydem hańby, która ją dotknęła w tym mężu spodlonym,—zrywa łączące ją z nim węzły, ucieka zdala od niego i ludzi, których zna,—od kraju, któremu poniżenie jej stało się wiadomem, przesiedła się do Ameryki. Co do dzieci, nie podają dzienniki nic. Czy Wilson według przepisów francuzkich, ma prawo je zatrzymać przy sobie, czy ona ma prawo je odebrać i zabrać ze sobą? W każdym razie ten rozdział matki z ojcem na zasadzie wykazanej mu podłości—oszustwa i frymarki nieuczciwej, wnoszonej w sprawę urzędowe, uderzy je jeżeli nie dziś, to jutro, wtedy, kiedy, myśl będzie już mogła zastanawiać się i sądzić, i dojść wtedy do przekonania, że ich matka miała ideał życia na szlachetnej prawości i zacności moralnej opartej—że zatem choć z jej strony idą z krwi uczciwej, że choć ta matka zostaje im przed oczyma duszy czystą i niezbrudzoną. To może uratować biedne istoty, to może podnieść je na duchu, i jeżeli pożyte z człowiekiem podłym upodla zawsze kobietę i daje świadectwo nizkości jej natury, która kocha nędznie, zwierzęco, to żona-matka ma ze względu na dzieci wyższy jeszcze, świętszy obowiązek protestu takiego, któryby wykazywał, że nie wiąże ją z nikczemnym licha namiętność miłości, zwanej ślepą — że ona protestuje przeciwko jego postępkom ohydny i w skutek tego nie dzieli już z nim, ani serca, ani chleba. Wilsonowa, odpychająca męża złodzieja, podnosi się ponad hańbę związku z nim i staje wobec opinii ludzkiej tylko jako ofiara losu. Trzeba dodać, że nie przyjmuje ona już nic od tego dawnego męża swego, że nie chce już nic nawet od rodziców, że unosi ze sobą w świat daleki to tylko, co otrzymała od rodziców jako wyposażenie ślubne. Nieszczęśliwa!... nieszczęśliwa!...

— Francuzka filantropka, M-me Bagelot, dyrektorka miłosiernego Towarzystwa samopomocy kobiet uwięzionych i wychodzących z więzienia, podaje w ostatniem sprawozdaniu z działań towarzystwa fakt ważny, że po siedmanstu latach gorliwych usiłowań, udało się nakoniec towarzystwu otrzymać decentralizacją kobiecego więzienia paryzkiego, S-go Łazarza. Towarzystwo to w całym znaczeniu tego słowa chrześcijań-

skie, bo działające w duchu ewangelicznej miłości bliźniego, liczy 600 członków, których zadaniem jest odwiedzać i wspierać na wszelki możliwy sposób uwięzione, i następnie, wypuszczone już na wolność przestępczynię. Moralna opieka nad temi nieszczęśliwymi, przytem wsparcie w postaci odzieży i pożywienia—to najgłówniejsze zadanie towarzystwa, przytem utrzymuje ono kosztem swoim dwa przytulki dla wypuszczonych z więzienia dziewcząt, gdzie są zaraz przyjmowane, skoro zamknie się za niemi brama więzienia i gdzie otrzymują umoralniającą je naukę religii i obowiązków człowieka, oraz naukę jakiejś pracy chlebobdajnej, jeżeli brakuje tego nieszczęśliwej. Rodzice i bliska rodzina odwiedzać je mogą tam i zabrać do siebie do domu, gdy dziewczyna zostaje uznana za moralnie poprawioną i uzdolnioną do uczciwego życia. Dwa podobne towarzystwa w Holandyi i Belgii tworzą się na zasadach przyjętych przez doświadczone już w miłosiernej swej działalności towarzystwo francuzkie.

— Paryzka Akademia Umiejętności otrzymała od panny Foehr, Alzarki, zapis 80,000 franków z celem ufundowania rocznej nagrody za dzieło w kierunku uzdrowotnienia publicznego albo za wynalazek dobroczynny dla ludzkości.

— Uczona botaniczka amerykańska, Asa Gray, która w r. 1878 została członkiem korespondentem Paryzkiej Akademii Umiejętności, umarła w Bostonie.

— W Japonii został ufundowany order zasługi dla kobiet: „Order Korony.“ Korespondencye angielskie, z których wiadomość jest czerpana, podają, że kwalifikacją stanowić będzie „ciche i stale spełniane czyny moralnej zasługi, lub też czyny szlachetnego poświęcenia“—i będzie to poniekąd order legii honorowej dla kobiet.

Dzienniki japońskie donoszą o pewnej uczoney Chince, która wykształciła się na doktora medycyny na którymś amerykańskim uniwersytecie, a należy tu przypomnieć, że religia, czy obyczaje chińskie, zabraniają kobiecie leczenia się od mężczyzn. Jest to zasługa rzeczywista, z którą nie miesza się żadna zbyteczna gorliwość w rozszerzaniu przez kobiety wiedzy medycznej i ztąd zasługa staje się większą, wielką nawet. Owa Chinka, natura już widać wszechstronnie zdolna, posiada zarazem i wyższe wykształcenie astronomiczne i nauczyłszy się w dodatku sztuki fotografowania, towarzyszy wyprawie astronomicznej do Japonii, zapewne chińskiej.

— W przeszłej *Kronice*, w sprawozdaniu nagród przyznanych kobietom na Wystawie Tkackiej, opuszczonym zostało nazwisko p. Alexandry Diehlowej, która otrzymała specjalne podziękowanie za piękne urządzenie całej wystawy włoscianskiej, które i publiczność zwiedzająca uznała za bardzo gustowne. Ortografia nazwiska jednej z obdarzonych nagrodą, pochodzącą z zapisu Zacharkiewiczza, została błędnie podana i błędnie przez pismo nasze powtórzoną. Zamiast: Julianna „Voigt“, powinno być „Wojtówna.“

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 23-ci i 24-ty powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Chrystus zmartwychwstały, poezya, przez M. I.—Byron, wspomnienie, (dokończenie), przez St. Krzezińskiego. — Na starym gruncie. powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Korespondencya zagraniczna, Poznań. — Nowoczesne salony paryzkie. — Z działu przyrody, przez J. S. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 23-ci i 24-ty powieści pod tytułem: **Książę Saracinesca**, przez Maryana Crawford. — Przegląd mód. — 19 wzorów ubiorów i robót z pisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.